

Tematy tygodnia

- 10 Ziemowit Szczerek
Mundial – paliwo dla Rosji
- 13 Martyna Bunda
Co mamy prawo wiedzieć o politykach

Polityka

- 16 Wojciech Szacki
Antypolonizm – nowa broń władzy
- 19 Grzegorz Rzeczkowski
Macierewicz wraca do gry

Społeczeństwo

- 22 O rosnącej popularności egzorcyzmów i czy państwo powinno reagować mówi mec. **Artur Nowak**
- 25 Ryszarda Socha
Nagonka na foki
- 28 Czy 100 lat po wywalczeniu praw wyborczych dla kobiet wciąż jest o co walczyć mówi dr **Sylvia Spurek**, zastępczyni RPO
- 31 Agnieszka Sowa
Barier dla miast bez barier

Rynek

- 34 Adam Grzeszak
GetBack – nowe Amber Gold?
- 37 O tym, dlaczego polskie społeczeństwo będzie się rozwarstwiać, mówi dr hab. **Michał Brzeziński**, badacz nierówności i ubóstwa z UW

Świat

- 40 Maciej Okraszewski **HISZPANIA Premier niespodzianka**
- 43 **Joseph Nye**, wybitny amerykański politolog, o tym, czy wierzyć Korei Płn. i dlaczego Europa musi przeciwstawić się prezydentowi USA
- 46 Maciej Okraszewski **SENEGAL Tu żyje się polityką i futbolem**

Historia

- 48 Sebastian Ligarski
Grzegorz Majchrzak
Jak władze PRL szykowały się na przyjazd papieża

10
46
68

Mundial: piłka i polityka

13



Granice prywatności

22



Groźne egzorcyzmy

43



Kim przechytry Trumpa

- 51 Maciej Machcewicz
Brytyjskie zbrodnie w Kenii
- 54 Ewa Wilk
Eseje o stuleciu, czyli Polski portret własny

Nauka

- 58 Edwin Bendyk
Wygaszanie oświecenia
- 62 O ateńskim ostracyzmie, czyli dyscyplinowaniu politycznych elit, opowiada dr hab. **Marek Węcowski**
- 64 Marcin Rotkiewicz
Ofensywa antyszczepionkowców

Ludzie i style

- 68 Marcin Piątek
Twierdza mundial
- 72 Paweł Walewski
Łatwo zrobić tatuaż, trudniej go usunąć

Kultura

- 80 Piotr Sarzyński
NAGRODA
ARCHITEKTONICZNA POLITYKI
Wygrani i pokonani
- 84 Tomasz Plata
Robert Brylewski – magik od brzmienia
- 86 Urszula Schwarzenberg-Czerny
„Kształt wody”: potwór z seksapilem
- 88 Aneta Kyzioł
Teatr szuka nadziei
- 90 Mea Pulpa
Kuby Wojewódzkiego
- 92 Mirosław Pęczak
To już 15. Letnie Ogrody POLITYKI!

Na własne oczy

- 100 Marta Sapała
fotografie Michał Łuczak
Bory Tucholskie rok po wielkiej nawałnicy

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 5 Ludzie i wydarzenia • 76 Afisz
• 95 Za stołem • 96 Hartman
• 97 Passent • 98 Do i od redakcji
• 99 Fusy • 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Izabela w krainie czarów

O romansie posła Pięty nie miałem zamiaru pisać, niestety skłoniły mnie do tego spekulacje na temat tego, na ile sprawa tego romansu popsuła wizerunek PiS. Otóż moim zdaniem w ogóle nie zepsuła, lecz przeciwnie – pokazała, że PiS to partia polityków szalenie atrakcyjnych, zdolnych przyciągnąć uwagę młodych kobiet, a nawet wiele im obiecać. To jaskrawy kontrast wobec polityków koalicji PO-PSL, którzy od kobiet woleli ośmiorniczki oraz drogie zegarki i – jak pokazuje przypadek posła Gawłowskiego – zamiast angażować się w gorące romanse, byli zdolni angażować się jedynie w afery korupcyjne. Oczywiście to przykre, że posła Gawłowskiego, który obecnie siedzi w areszcie, nikt w prawach członka partii nie zawiesza, tymczasem posła Piętę, mimo że jeszcze nie siedzi, przes już zawiesił. Ale trzeba powiedzieć, że jest w tym sporo winy samego Pięty, który zamiast do PiS mógł – jak Gawłowski – wstąpić do PO, gdzie jego liberalne podejście do problematyki pozamałżeńskich związków partnerskich na pewno trafiłoby na podatniejszy grunt, w wyniku czego Pięta nie musiałby się ze swoimi skłonnościami kryć ani przeproszać wyborców za to, że zawiódł ich zaufanie. Zgadnam się, że winne są tu służby specjalne, które nie ostrzegły Pięty przed wikłaniem się w romans z Izabelą Pek, więc



nieświadomy zagrożenia Pięta się uwikłał, lekkomyślnie oczarowując kobietę swoją osobą. Z tym że w całej sprawie niepokoi mnie rola posła Horały. Dlaczego Horała, który podczas kampanii Andrzeja Dudy miał osobiście wprowadzić Izabelę Pek w środowisko polityków PiS, sam jej nie oczarował, tylko pozwolił czarować Pięcie? Czy Horała jest od Pięty gorszy albo czegoś mu brakuje? Oglądając go w telewizji, nie mam wątpliwości, że oczarowałby niejedną będącą bez pracy i z tego powodu gotową na wszystko kobietę. W wywiadzie dla „Faktu” Izabela Pek przyznała zresztą, że nawet Andrzej Duda ją oczarował, dlatego czuję, że i posłowi Horale by się udało.

Zastanawia, w jaki sposób fotomodelka erotyczna o ksywce Czarna Pantera, która w opinii Pięty, kto wie, czy nie była narzędziem zemsty Gazpromu i jego niemieckich sojuszników na nim, zdołała znaleźć się na tyle blisko prezydenta Dudy, żeby ten mógł ją oczarować. Rodzi się pytanie, gdzie wtedy były służby. Takich dramatycznych pytań dotyczących Andrzeja Dudy i służb jest zresztą więcej; pytam się np., gdzie były służby, gdy Duda wykonywał swój taniec podczas niedawnych Spotkań Młodych na Łednicy? I dlaczego nikt go nie powstrzymał, wyrządzając w ten sposób i Polsce, i Andrzejowi Dudzie dużą krzywdę.

Niežnośna lekkość słów



Jerzy Baczyński



Jerzy Baczyński

Jesteśmy świadkami geopolitycznego trzęsienia ziemi: pęka i rozsuwa się euroatlantycka płyta tektoniczna, dotychczas stabilizująca całą planetę. Szczelina między Ameryką a Europą, którą ujawniły amerykańskie wybory prezydenckie, stale się poszerza: wojna celna, konflikt o traktat z Iranem, spektakularna klęska szczytu G7 w Kanadzie, niekonsultowane z sojusznikami układanie się Donalda Trumpa z Kim Dzong Unem i Władimirem Putinem – to tylko świeże przykłady najgłębszego od dziesięcioleci kryzysu zachodniej wspólnoty politycznej. Dla Unii Europejskiej to wielkie wyzwanie do strategicznej samodzielności. Zauważył to także premier Mateusz Morawiecki, mówiąc (w wywiadzie dla „Gazety Polskiej”), że „drogi Unii i Ameryki zaczęły się mocno rozchodzić” i w związku z tym – uważa – „rząd polski chce być integratorem między UE i USA”. Ło! Przypominają się polskie przysłówia: o żabie, co nogę do kucia podstawia, czy filipie, który wyskoczył z konopii.

Udał się premier, bo chyba żaden wcześniejszy rząd III RP nie miał tak słabej pozycji po obu stronach Atlantyku. Ameryka Trumpa traktuje ekipę PiS w najlepszym razie protekcyjnie i ze zniecierpliwieniem, czego dowodem choćby senackie przesłuchanie kandydatki na ambasadora USA w Polsce czy dyplomatyczne wzruszenie ramion na dziwaczny pomysł „kupienia” przez Polskę stałych baz USA. A jaka jest pozycja rządu polskiego w Unii Europejskiej, przekonujemy się każdego tygodnia; od wejścia do Unii nigdy nie była tak słaba, marginalna, zawstydzająca. Koncept Wielkiego Integratora to, niestety, nie pierwszy przypadek radosnej megalomanii premiera i jego, czy też jego formacji, odklejenia się od rzeczywistości.

Mateusz Morawiecki właśnie obchodzi półrocznicę objęcia urzędu. Ta zaskakująca wtedy nominacja była komentowana, także po stronie opozycji, jako bardzo sprytnie posunięcie Kaczyńskiego, który zamierza Morawieckim przyciągnąć do PiS polityczne centrum i jednocześnie ułagodzić Brukselę, rozdrażnioną ostentacyjnym łamaniem w Polsce praworządności i agresywną antyunijną retoryką Beaty Szydło. Jeśli takie były intencje, to wyszło raczej słabo. I nie chodzi nawet o liczne polityczne i wizerunkowe gafy, które zrazu można było zapisać na konto braku doświadczenia Morawieckiego. Gorzej, że nowy premier okazał się zaprzeczeniem towarzyszącej mu reputacji sprawnego menedżera, który miał dodać władzy PiS realizmu oraz europejskiego sznytu. I tu jest zagadka: czy Morawiecki jr zawsze był, czasowo przebrany za bankowca, narodowo-katolickim fanatykiem (pamiętamy jego zapowiedź rechrystianizacji Europy), czy też wchodząc w nowę, sceptycznie wobec niego środowisko,

próbował się w nie wkupić, zaimponować radykalizmem? W każdym razie, bodaj w żadnej sprawie Morawiecki nie pokazał jakichś talentów negocjacyjnych, nie rozwiłkował żadnego zewnętrznego czy wewnętrznego konfliktu. Przeciwnie. A już w obrażaniu opozycji (ludzi o kamiennych sercach, porywaczy biednych dzieci, turboliberałów itp.) przelicytował chyba samą Beatę Szydło. Po prawdzie do politycznego języka PiS Morawiecki wiele nie wniósł (gdzie mu do „zdradzieckich mord”), zaskoczył natomiast nonszalanckim, jak na byłego bankowca, stosunkiem do faktów, danych, wagi własnych słów.

Właściwie do każdej wypowiedzi premiera konieczne byłyby sprostowania i dobrze, że media opozycyjne próbują temu jakoś podolać (polecam szczególnie fact-checking OKO.press). Rzadko jednak udaje się taka natychmiastowa riposta, jak „panie premierze, niech pan nie kłamie” niepełnosprawnego Kuby Hartwicha, przekazanemu Sejmowi z telefonu pos. Scheuring-Wielgus. Więć tylko, dla ilustracji, wybór ostatnich sprostowań. Morawiecki do opozycji: „dawaliście groszowe waloryzacje emerytur, my najwyższe od 8 lat”. Fakty: to PiS w 2017 r. dał groszową podwyżkę 0,44 proc., rządy PO-PSL przez 6 lat przyznawały wyższe. Premier: „budżety gospodarstw domowych z osobami niepełnosprawnymi zwiększyliśmy z 2 do 3 tys. zł”. Otóż renta socjalna w 2016 r. wzrosła o 2 zł, w następnym była tylko ustawowo waloryzowana, a dopiero od września tego roku, wskutek protestu sejmowego, wyniesie netto 886 zł. Zasiłek pielęgnacyjny wzrośnie od września o 30 zł ze 153 zł miesięcznie. Nawet sumując wszystko, co się da (w tym zasiłki dla opiekunów), nie ma choćby w przybliżeniu kwot, które podaje premier.

Albo żeby już było na inny temat: Morawiecki – z Polski do Europy wyprowadzane jest rocznie 100 mld zł dywidend, podczas gdy z Unii uzyskujemy tylko 25 mld. Ekonomiści Marcin Zieliński i Aleksander Łaszek w „Rzeczpospolitej” dowodzą, że nie się tu nie zgadza. Premier porównuje bezzwrotne transfery unijne z dochodami firm, które myli (?) z dywidendami, przy okazji ignorując fakt, że większość dywidend z inwestycji zagranicznych jest w Polsce reinwestowana. „Oddamy milion mieszkań w ramach programu Mieszkanie Plus” – w opinii banku finansującego ten program może być 200 tys., i to w 12 lat. „Zbudujemy Via Carpatia i Via Baltica” – oddano 40 km, 30 jest w budowie. „Na sądownictwo wydajemy 1,8 proc. PKB, trzy razy więcej od europejskiej średniej” – naprawdę poniżej 0,5 proc. Przeznaczymy ponad 20 mld zł na program Dostępność Plus (z artykułu na s. 31 wynika, że nie rząd wyda, lecz Unia i samorządy, nie teraz, ale przez wiele lat itd.). Wzmocnimy niezależność polskich sądów (to w raporcie dla UE), a „papież absolutnie zgadza się z naszą polityką” w sprawie uchodźców (papież nie zaprzeczy).

I tak można by ciągnąć, nie tykając już nawet historycznych rewelacji wygłaszanych przez premiera. W ciągu pół roku Morawiecki stał się naczelnym bajazetem kraju. I pierwszą samochwałą. Premier ma nieznośną lekkość opowiadania rzeczy nieprawdziwych, naciąganych, wygłaszania aktów strzelistych, składania bezgranicznych obietnic, łączenia drobnych kłamstw z wielkim patosem. Kto się spodziewał czegoś innego, będzie zawiedziony. Mateusz Morawiecki chyba już na dobre dołączył do grupy pisowskich delfinów; w każdym razie chłapie dokładnie tak samo.

Jan Koza



KOMENTARZ

Biała księga prokuratury

Ewa
Siedlecka

Prokuratura PiS-u spełniła oczekiwania tych, którzy przed nią ostrzegali: jest nie tylko kierowana politycznie, ale też politycznie działa: sprawdza, czy Donald Tusk popełnił w sprawie katastrofy smoleńskiej „zdradę dyplomatyczną”, odmawia zaś zbadania głosowania „kolumnowego” w Sejmie, niepublikowania wyroków przez premier Beatę Szydło, badania winy BOR w sprawie wypadku samochodu z panią premier. „W interesie społecznym” przystąpiła do prywatnego procesu w sprawie śmierci, po operacji serca, ojca ministra-prokuratora Ziobry. I ściga biegłych, którzy wydali opinię w tej sprawie, oraz sędzię, która za tę opinię zapłaciła. Wszczyna dochodzenia „w sprawie” sędziów wydających „niewłaściwe” wyroki i postanowienia (niezastosowanie aresztu, nakazanie prowadzenia śledztwa w sprawie głosowania „kolumnowego”) itp., itd.

Aco z oczekiwaniami „suwerena”? Bo uzależniając politycznie prokuraturę, PiS nie obiecywał politycznego skręcania śledztw, tylko większą skuteczność prokuratury. Z danych zebranych przez opozycyjne Stowarzyszenie Prokuratorów Lex Super Omnia w opublikowanej właśnie „Białej księdze prokuratury” wynika, że prokuratura PiS-u jest mniej sprawna niż niezależna prokuratura za czasów rządów PO (ręcznie Prokuratury Krajowej uznała ten raport za nierzetelny). **Spada liczba śledztw.** W 2015 r. było ich 98,2 tys., a w 2017 r. – 80,2 tys.

Prokuratorzy częściej umarzają sprawy lub w ogóle odmawiają wszczęcia. W 2015 r. (prokuratura niezależna) było 141,5 tys. odmów wszczęcia i 271 tys. umorzeń, w 2017 r. – 218,9 tys. odmów i 360,4 tys. umorzeń. **Rośnie przewlekłość postępowań.** Np. spraw toczących się powyżej pięciu lat w 2015 r. było 106, a w 2017 r. – 209, czyli blisko o sto procent więcej. **Spada skuteczność ścigania.** W latach 2015 i 2016 sprawy skierowane do sądu stanowiły 32 proc. wszystkich prowadzonych postępowań, w 2017 r. – 28 proc.

Prokurator Ziobro nagradza prokuratorów delegacjami do wyższych instancji, przez co nie ma kto pracować w prokuraturach rejonowych – czyli tam, gdzie sądzone są „ludzkie” sprawy. Łącznie na delegacjach

we wszystkich jednostkach prokuratury było 1102 prokuratorów. Na delegacji do wyższych instancji jest 646 prokuratorów rejonowych, czyli aż 1/6 wszystkich pracujących na szczeblu rejonu. „Skoncentrowanie się przez Prokuraturę Krajową na ściganiu tzw. przestępstw VAT-owskich, jak i spraw restryktoryzacyjnych, doprowadziło do sytuacji, że te tzw. drobne sprawy (kradzieże, znęcania, groźby, sprawy alimentacyjne, oszustwa) stały się drugorzędne” – komentują autorzy „Białej księgi”.

Delegacje kosztują w prokuraturze PiS-u o ponad 4 mln zł więcej, niż kosztowały w niezależnej prokuraturze. Do tego dochodzą **hojne nagrody.** 24 prokuratorów Prokuratury Krajowej dostało nagrody w łącznej wysokości 362 tys. zł, co daje średnią w wysokości ok. 15 tys. na głowę. A członkowie Zespołu Śledczego nr 1 ds. katastrofy smoleńskiej oprócz nagród mają dodatki funkcyjne i specjalne od 6,6 tys. zł do 7,7 tys. zł.

Podsumujmy: wymiana kadry kierowniczej, totalne uzależnienie polityczne i hojne dofinansowanie prokuratury dały bilans ujemny. Przynajmniej wiadomo, kto za to odpowiada – Zbigniew Ziobro, który napisał prawo o prokuraturze, stanowiące, że on sam jest jedynym decydem w wszystkim, co się w niej dzieje.

KOMENTARZ

Rytuały protestu

Edwin
Bendyk

Uniwersytety strajkują przeciwko reformie Gowina, czyli ustawie zmieniającej system nauki i szkolnictwa wyższego. W Warszawie kilkadziesiąt osób podjęło okupację rektoratu UW. Dołączają inne ośrodki, choć więcej niż protestujących jest głosów papierowego poparcia ze strony wydziałów, instytutów, organizacji zawodowych. Jeśli protestować, to teraz, bo ustawa jest właśnie procedowana w Sejmie, a jej twórca Jarosław Gowin ma nadzieję, że proces legislacyjny zakończy się przed wakacjami, by machina zmian ruszyła wraz z nowym rokiem akademickim. Jeśli jednak protestować, to na poważnie, a nie przez delegowanie sprawy garstce studentów, którzy zdecydowali się na bezpośrednie zaangażowanie. Bo jeśli, jak twierdzą protestujący i wspierający ich krytycy ustawy zwanej szumnie Konstytucją dla Nauki, nowe prawo jest szkodliwe, to przeciwstawienie się mu wymaga środków adekwatnych do szkodliwości.

Tu jednak zaczyna się problem, bo choć w sporze często padają odwołania do opinii środowiska akademickiego, nie mówi ono jednym głosem. Mają rację protestujący, zwracając uwagę, że wicepremier Gowin nie dotarł z dyskusją o reformie do wszystkich, choć z drugiej strony jego propozycja jest najdłuższą chyba przygotowywaną po 1989 r. ustawą. Wiele z tego czasu zajęły rozmowy ze środowiskami akademickimi. I dla wielu z nich proponowane zmiany (powołanie zewnętrznych rad uczelni, wzmocnienie pozycji rektora, większe finansowanie najlepszych szkół) oznaczają dobry krok w kierunku niezbędnej przebudowy systemu nauki i szkolnictwa.

Środowisko akademickie jest jednak zbyt podzielone, by potrafiło zdefiniować wspólny interes. Dlatego w dyskusji często pojawiają się odwołania do dobra wspólnego. Uniwersytet ma być więc instytucją dobra publicznego, a utrzymanie uczelni akademickich w mniejszych miastach, zagrożonych potencjalnie przez ustawę, leży w interesie publicznym. Tylko że dyskusja o interesie publicznym jest z definicji dyskusją polityczną, tymczasem protestujący podkreślają, że ich sprzeciw nie ma charakteru politycznego, tylko merytoryczny.

Mniej naiwna jest antyreformatorka frakcja w obozie władzy – wielu posłów PiS, jak Ryszard Terlecki i Krystyna Pawłowicz, krytykują ustawę właśnie z powodów czysto

politycznych. Protestujący siłą rzeczy wpisują się w grę polityczną PiS, partii tworzącej rząd forsujący ustawę Gowina. Niezależnie która frakcja w obozie władzy wygra, politycznie wygra PiS.

Jakie będą skutki merytoryczne? Tego nie wie nikt, bo jak zauważył Marcin Zaród z Uniwersytetu Warszawskiego: „Ustawa i debata wokół niej zatem odzwierciedlają ogólny stan naukowego środowiska, które stoi po obu stronach strajku. Jako naukowcy nie umiemy przygotować pilotażu, mierników i etapów pośrednich ustawy. Jako naukowcy nie umiemy też dyskutować z konkretnymi zapisami, chętnie za to odtwarzamy znane rytuały protestu”.

Zasadniczy jednak problem z ustawą Gowina polega na tym, że ma charakter imitacyjny, „nie ma w niej nic, czego by nie było w innych systemach akademickich”, jak mawiają przedstawiciele resortu nauki. Ma służyć doganianiu, tylko że ci, których chciałobyśmy dogonić, sami mają wątpliwości, czy ich uniwersytety i systemy nauki na skutek reformowania stały się lepsze. Istnieje więc ryzyko, że reforma nie przyniesie obiecanych skutków, a może spowodować szkody. Czy jednak zaniechanie próby byłoby mniej ryzykowną alternatywą? Nikt nie przygotował całościowej i jednoznacznej odpowiedzi. Dlatego udział jej politycy.



„Europo! Nie odpuszczaj!”

Takie hasło gromadzi ludzi w wielu polskich miejscowościach. Bo czasu na zapobieżenie dalszej dewastacji polskiej praworządności jest coraz mniej.

Listy do Komisji Europejskiej podpisują zarówno zwykli obywatele, jak i sławne autorytety prawnicze. Najsłabiej chyba słyszalny jest głos partii politycznych. Trochę to dziwne, ale może i dobrze, że w kraju, w którym niszczona jest niezależność sądów i niezawisłość sędziów, rozbijany jest trójpodział władzy, społeczeństwo obywatelskie bardziej niż partie opozycyjne nawołuje Komisję Europejską, aby przekazała ustawę o Sądzie Najwyższym do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Dochodzą słuchy, że Frans Timmermans jest niezłomny i walczy o to, żeby PiS nie zniszczył do końca polskiego wymiaru sprawiedliwości, ale podobno przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker wołałby przymknąć oko, aby tylko nie wywoływać kolejnej wojny z polskim rządem.

Trudno powiedzieć, jaka tendencja weźmie górę; pewne jest to, że europosłowie z chadeckiego klubu parlamentarnego Europejskiej Partii Ludowej (EPP) coraz głośniejsze protestują przeciwko temu, że w ich szeregach zasiadają członkowie Fideszu, partii Viktora Orbána, która doprowadziła do zamknięcia ostatniego niezależnego dziennika na Węgrzech, o innych ekscesach nie wspominając. Parasol ochronny nad Orbánem roztaczali właśnie chadecy, argumentując, że samą perswazją uda im się zawrócić Fidesz ze złej drogi. Dziś, najwyraźniej nauczeni na własnych błędach, po posiedzeniu Zgromadzenia Politycznego w Warszawie (4 i 5 czerwca), ogłosili: „EPP wzywa Komisję Europejską do wykorzystania wszystkich instrumentów, w tym Trybunału Sprawiedliwości UE, by upewnić się, że polski rząd wypełnia europejskie prawo i standardy”. W marcu br. dwoje europosłów: Roberta Metsola, Maltanka z Europejskiej Partii Ludowej, oraz Josef Weidenholzer, Austriak, członek Socjalistów i Demokratów, wystosowało do Komisji Europejskiej pytanie, czy zamierza skierować ustawy łamiące niezależność sądownictwa w Polsce do Trybunału Sprawiedliwości UE. Sam Trybunał w słynnym „wyroku portugalskim” określił się jako organ odpowiedni do rozstrzygania wątpliwości dotyczących niezależności sędziów i sądów. Termin minął, Komisja dotychczas nie odpowiedziała.

Głównym zadaniem Komisji Europejskiej jest stać na straży Traktatów. „Strażniczka Traktatów” mówi się o niej. Wydawałoby się więc, że kiedy inne narzędzia zostały wyczerpane, a w Polsce nadal art. 2 Traktatów („Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości”) nie jest respektowany i w dodatku rząd polski uparcie nie reaguje na liczne monity, Komisja musi zwrócić się do Trybunału Sprawiedliwości UE z wnioskiem o rozstrzygnięcie konfliktu. Zastanawiam się nawet, czy jeśli tego nie zrobiła, nie należałoby jej zarzucić niedopełnienia obowiązków. Cytuję z informacji o funkcjonowaniu Trybunału z rozdziału dotyczącego skarg w sprawie bezczynności: „Parlament, Rada i Komisja są zobowiązane do podejmowania określonych decyzji w określonych okolicznościach. Jeżeli nie dopełniają one tych zobowiązań, rządy krajów UE, inne instytucje UE lub (pod pewnymi warunkami) osoby fizyczne

lub przedsiębiorstwa mogą wnieść skargę do Trybunału”. Nie jestem pewna, czy ta droga jest prawnie możliwa do zrealizowania, nigdy nie była praktykowana w dziedzinie, o której tu mowa, jednak na rozliczne apele Komisja musi zareagować. Również Europejska Ombudsman byłaby odpowiednim organem, bo – zgodnie z art. 24 i 228 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej – to do niej obywatele Unii wnoszą skargi, jeśli uznają, że instytucje unijne niewłaściwie zajęły się ich sprawami. Mam nadzieję, że nie dojdzie do kryzysowej sytuacji, kiedy to państwa członkowskie zdecydują się na krok desperacki i oskarżą Polskę o łamanie wspólnego prawa. To mogłoby być fatalne w skutkach. Atmosfera wokół Polski dramatycznie się pogarsza.

Z drugiej strony podzielam niepokój tych, którzy zauważają, że nastąpiło już pewne znużenie Polską. Są ważniejsze problemy, choćby te zaznaczone ostatnimi wyborami we Włoszech, kraju, który Wspólnotę budował od samego początku, który jest w strefie euro,

a jego nowy rząd jest eurosceptyczny. Dziś ważne jest, jak dalek rozwijać wielki projekt europejski z tymi, którzy konstruktywnie chcą w nim uczestniczyć. Debatę będzie miała realny wpływ na życie obywateli Unii. Uwaga koncentruje się na śmiałych propozycjach Emmanuela Macrona i ostatnich ostrożnych reakcjach Angeli Merkel. Na pierwszy plan wysuwają się różnice dotyczące strefy euro. Macron proponuje mocne zaangażowanie, co dla Niemiec oznaczałoby zainwestowanie znacznie większych pieniędzy w bezpieczeństwo wspólnej waluty. Według prezydenta Francji fundusz ten powinien być w gestii ministra do strefy euro – kolejnego projektu Macrona. Pani kanclerz i jej doradcy nie chcą słyszeć o setkach miliardów na zabezpieczenie euro, szczególnie że obciążałoby one przede wszystkim podatnika niemieckiego, jak i nie wspierają nowych pomysłów na administrowanie tymi pieniędzmi. Merkel preferuje budżet UE zarządzany przez Komisję Europejską, a wyrównywanie różnic między państwami w euro widzi raczej strukturalnie, jako pomoc w rozwijaniu innowacji, technologii i wiedzy. Macron proponował europejskie oddziały wojska, europejski budżet na obronność i doktrynę działania, a w dodatku inicjatywa ta, według Macrona, mogłaby funkcjonować niezależnie od nieco ociężałych struktur UE. Ku rozczarowaniu wielu komentatorów zarówno francuskich, jak i niemieckich, na to też nie ma zgody Merkel. Politykę obronną widzi ona tylko w ramach polityki wspólnotowej, a w dodatku podkreśla, że wojska niemieckie nie muszą być zaangażowane w każdą interwencję.

Szefowie obu największych państw w Unii zgodnie argumentują jedynie w sprawach takich, jak powołanie europejskiego urzędu do przyznawania azylu, wspólnych jednostek pilnujących bezpieczeństwa granic zewnętrznych Unii, lepiej skoordynowanej i większej pomocy rozwojowej dla Afryki. Jednak różnice są tak znaczące, że trudno je pogodzić z nawoływaniem do silniejszej i mocniejszej integracji Unii Europejskiej. I żał, że Polska, dla której mocna Unia Europejska jest kluczem do zyskania na sile i na znaczeniu, nie wnosi do tej debaty niczego poza problemami.



© STANISŁAW TYM



Rządy kobiet

Skład nowego hiszpańskiego rządu szybko obiegł światowe agencje, bo idealnie oddaje ducha czasu. Premier Pedro Sanchez powołał do swojego socjalistycznego gabinetu 6 panów i 11 pań; to **najbardziej kobiecy rząd w dziejach Hiszpanii** i dziś w Europie (pozostawia w pokonanym polu Francję, Szwecję i zamorską Kanadę). Jediną wicepremier, do spraw równości, została Carmen Calvo, a panie objęły również m.in. resorty gospodarki, sprawiedliwości, obrony, zdrowia i finansów, a także spraw wewnętrznych, gdzie na panią minister spadnie m.in. rozładowanie kryzysu katalońskiego. Mamy też w tej ekipie zadeklarowanego geja, naukę objął podwójny kosmonauta Pedro Duque, a kulturę (i sport) – wzięty pisarz i dziennikarz Màxim Huerta. Zdaniem premiera taki skład

kwituje przemiany, jakie się ostatnio dokonały w Hiszpanii, a za najważniejsze wydarzenie, po którym – jak mówi – nic już nie było takie jak dotychczas, uznaje niedawny (8 marca) marsz 5 mln kobiet na rzecz równych szans i walki z przemocą. Kłopot w tym, że to jednocześnie najslabiej umocowany rząd w dziejach Hiszpanii: wspiera go 84 posłów w 350-osobowych Kortezach. Sanchez obiecał nowe wybory najpóźniej za dwa lata, jak już uporządkuje sytuację, ale ten termin może się okazać dużo mniej odległy.

Równolegle największy hiszpański dziennik „El País” po raz pierwszy w swej 42-letniej historii powołał redaktora do spraw gender, a właściwie redaktorkę: Pilar Álvarez. Ma dbać, żeby na łamach więcej pisano o problemach kobiet i żeby częściej pojawiały się ich sylwetki. „Będziemy też opisywać, jak na to wszystko reagują mężczyźni” – zapewnia Álvarez.

Sylwetka Pedro Sanchez – s. 40.

Kiwi i Chińczycy

Również w Nowej Zelandii chińskie wpływy są coraz silniejsze.

Według raportu kanadyjskiej agencji wywiadowczej CSIS jeden z najbliższych sojuszników, Nowa Zelandia, dał się niebezpiecznie spenetrować Chińczykom. Ci, uznając ją – obok Australii – za rodzaj poligonu, gdzie testowane są nowe metody wywierania wpływu – wzięli za cel elity polityczne i gospodarcze oraz kręgi uniwersyteckie. A także chińską wspólnotę i jej media oraz licznych chińskich studentów. Z wyraźnymi – i niepokojącymi, zdaniem CSIS – sukcesami. W podobnym ostrzegawczym duchu wypowiedziała się ostatnio Hillary Clinton podczas spotkania z premierem Jacindą Ardern.

Szczegółowy opis tych relacji sporządziła sinolożka prof. Anne Marie Brady z Uniwersytetu Canterbury. 4,7-milionowa Nowa Zelandia jest atrakcyjna dla Pekinu, bo mała zamieszkała, ze sporą rezerwą terenów rolniczych i złożami ropy do zagospodarowania, rozwiniętym przemysłem mleczarskim (gdzie już głównymi inwestorami są Chińczycy), obiecującym sektorem zbrojeniowym, doświadczeniem w eksploracji Antarktydy oraz... czterema głosami w ONZ (gdzie reprezentuje też Wyspy Cooka, Niu i Tokelau). Wszystko to do wykorzystania. We wrześniu ub.r. wybuchł lokalny skandal, kiedy się okazało, że poseł rządzącej wówczas Partii



Narodowej **Jian Yang** (Nowozelandszczyk od 2004 r.) wcześniej przez 15 lat pracował dla chińskiego wywiadu wojskowego. Yang odpowiadał w partii za zbiórki funduszy wyborczych. Jego kolega z partii, też z chińskimi korzeniami, użył jako sloganu wyborczego frazy przewodniczącego Xi.

Na czele trzech największych chińskich banków i w zarządkach pracują byli posłowie i politycy wysokiego szczebla, w tym była pani premier. Brat byłego premiera kieruje chińskim gigantem rolno-przemysłowym i szefuje izbie handlowej oraz słynie z retoryki bardzo przychylniej Pekinowi. Środowisko naukowe rozmiękcza chińskie granty i stypendia. To tylko drobne przykłady z raportu prof. Brady, który chyba zrobił większe wrażenie za granicą niż w kraju kiwi. Różnica jest bowiem taka, że w przeciwieństwie do Australii, w pełni świadomej podobnych praktyk i zagrożeń u siebie, gdzie nawet premier Malcolm Turnbull wzywał publicznie do czujności, w Wellington jeszcze nie uderzono w dzwony.

Niedyplomata w Berlinie

Wysłany z Białego Domu do Niemiec Richard Grenell nie zdążył być ambasadorem nawet przez miesiąc, od razu wywołał wściekłość Berlina: rząd Angeli Merkel wystosował oficjalną prośbę do Waszyngtonu o wyjaśnienie postępowania dyplomaty, a lewicowa partia Die Linke żąda wręcz jego odwołania.

Grenell najpierw w dniu objęcia urzędu wysłał tweeta, w którym kazał niemieckim firmom zastanowić się do amerykańskich sankcji nałożonych na Teheran i „natychmiast związać się z Iranu”. Niedługo potem w wywiadzie dla skrajnie prawicowego portalu Breitbart mówił, że z chęcią wesprze antyestablishmentowe partie w Europie, bo „czas zachęcić ludzi, aby powstał przeciw elitom”. A wreszcie, z niewiadomych przyczyn zażądał osobistego spotkania z akurat odwiedzającym Niemcy premierem Izraela Benjaminem Netanjahu.

Po Grenelli można się było podobnego zachowania spodziewać – były komentator Fox News słynął w przeszłości z obraźliwych komentarzy na temat innych osób, zwłaszcza kobiet. Przez wiele lat pracował dla amerykańskiej administracji w ONZ, ale albo nie nabył tam ambadorskiego sznytu, albo trzymał się zasady, że przykład idzie z góry. A jego przełożonego w Białym Domu też trudno posażać o dyplomatyczną rezerwę.

G7 minus Trump

Szczyt w Kanadzie pokazał, że liderzy siedmiu zachodnich potęg są podzieleni jak nigdy dotąd.

Komentując weekendowy szczyt państw G7, doradca prezydenta USA ds. handlu Peter Navarro powiedział w CNN: „Gospodarze powinni się cieszyć, że Donald Trump w ogóle zrobił im tę przyjemność i przyjechał. Bo ma na głowie dużo ważniejsze rzeczy, jak spotkanie z Kim Dzong Unem”. Może rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby nie przyjechał.

Zaczął się jeszcze przed podróżą. Na trawniku Białego Domu Trump wyraził zdziwienie faktem, że na spotkaniu nie będzie Rosji. „A przecież musimy porządzić światem” – dodał prezydent. Wykluczenie Rosji z grona G8 (stąd G7) to efekt inwazji na Ukrainę i aneksji Krymu w 2014 r. Później, już podczas spotkania w kanadyjskim Quebecu, Trumpa poparł w tej sprawie nowy premier Włoch Giuseppe Conte. Ale tematu nie podjęto, bo szczyt zdominowały dyskusje o handlu. Po tym jak 1 czerwca Ameryka wprowadziła cła na aluminium i stal z Unii Europejskiej, poszkodowani szykują się do odwetu, przy czym Trump już zapowiedział odwet na odwet – mówi się m.in. o cłach na europejskie auta. Prezydent USA jest przekonany, że reszta Zachodu nie dość, że korzysta z amerykańskiego parasola militarnego, to jeszcze – w wyniku własnego protekcyjnizmu – zarabia krocie na handlu z USA (w logice Trumpa to oznacza, że Ameryka musi tracić). Europejczycy w Quebecu przekonywali, że o nierównowadze nie może być mowy, bo cła po obu stronach Atlantyku są porównywalne.



Za kulisami spotkania G7. Zdjęcie, które już stało się ikoną.

Powstał jednak wspólny komunikat ze spotkania i gdy już się wydawało, że perspektywa wojny handlowej została odsunięta, gdzieś znad Pacyfiku, w drodze na spotkanie z Kimem w Singapurze (zaplanowane jest po zamknięciu tego numeru POLITYKI) Trump zatweetował, że USA niczego nie podpiszą, przy okazji obrażając gospodarza, premiera Kanady Justina Trudeau. Może chociaż Kim doceni i zrozumie Amerykanina.

Miss zakrywa kostium

Wszelkogarniający ruch #MeToo dotarł także do konkursu Miss America. Koniec z paradą na wybiegu w bikini i prezentacją w sukniach wieczorowych. Szpilki tylko dla pań, które będą miały na to ochotę, a reszta będzie mogła założyć stroje i obuwie, w których czują się najlepiej i które odzwierciedlają ich charakter. Konkurs, w którym liczyło się, aby kandydatki nie przekraczały magicznych wymiarów 90/60/90 cm, teraz da im szansę zaprezentować swoje osiągnięcia, opowiedzieć o planach na przyszłość i o tym, w jaki sposób zamierzają wykorzystać zdobyty tytuł.

Zmiany zaszły też w składzie kierownictwa konkursu, którego prezeską pod koniec zeszłego roku została **Gretchen Carlson**, Miss America z 1989 r. Poprzedni szef i kilku innych członków ustąpiło ze stanowisk po tym, jak pół roku temu portal HuffPost opublikował ich seksistowskie komentarze o uczestniczkach i zwyciężczyniach konkursu, w tym m.in. o Carlson. Dziś konkursem zarządzają same kobiety. A organizowana od 1921 r. impreza, która stała się instytucją i od lat narzucała obowiązujące wszędzie indziej na świecie standardy, teraz proponuje kolejną rewolucję. Przy okazji wywołując dyskusje, jak oceniać pomysł na życie i pasje w zawodach, które z definicji miały mierzyć urodę.



Kardynał u „masonów”

Kard. Pietro Parolin, watykański sekretarz stanu, uczestniczył w dorocznym, 66. z kolei, zamkniętym dla mediów spotkaniu elitarniej Grupy Bilderberg. Wcześniej przedstawiciela papieżstwa na spotkaniu nie zapraszano. A wyznawcy teorii spiskowych i kontestatorzy elit przedstawiają Bilderberg jako tajny „rząd światowy”, powiązany z międzynarodową masonerią. W rzeczywistości wśród osób zaproszonych do Turynu czynnych polityków było niewielu. Większość to eksperci w swoich dziedzinach. Na liście znajdujemy m.in. Radosława Sikorskiego, Anne Applebaum i Grzegorza Hajdarowicza, właściciela dziennika „Rzeczpospolita”. Grupa powstała ponad pół wieku temu z inicjatywy Polaka Józefa H. Retingera. Chodziło o umacnianie więzi między USA a wolną Europą. Pierwsze spotkanie miało miejsce w hotelu w Holandii noszącym nazwę Bilderberg.

Co kardynał robił w takim kosmopolitycznym gronie? Słuchał ocen i diagnoz ludzi dobrze zorientowanych, a także wyrabiał sobie kontakty. To niezbędny dyplomatycki. Atmosfera jest nieformalna, niczego się nie protokołuje. Parolin, nazywany premierem Watykanu, niedawno mówił w Davos o celach papieskiej dyplomacji, której szefuje. Teraz miał okazję zrobić to na forum Bilderbergu. Nie powinno to dziwić, bo agenda papieża Franciszka jest podobna: „ekonomia chciwości”, kryzys migracyjny, zły stan stosunków międzynarodowych.

Popularny
mem
z Władimirem
Putinem
krążący po sieci.



© EAST NEWS

Władimir Niedźwiedzie Serce

Mundial jest dla Kremla okazją, aby przeciwstawić rosyjską tężyznę zachodniej dekadencji i miękkości. Ale to iluzja, bo „prawdziwi Rosjanie” sport głównie oglądają.

ZIEMOWIT SZCZEREK

W

ładimir Putin to żywy pomnik tężyzny fizycznej. Inne narody wschodniej Europy, próbując zadziwić świat, muszą zamieniać centrum stolicy w groteskowy pomnik siebie samych jak Macedończycy, budować wielkie dzielnice chromowanych drapaczy chmur jak Serbia czy wznosić największe na świecie totemy Jezusa z siatkoconu jak Polska. Rosja nie musi.

Wystarczy, że raz na jakiś czas w mediach pojawiają się zdjęcia Putina z gołą klatką na koniu, ze strzelbą myśliwską czy pływającego delfinem, wyciągającego z Morza Czarnego starożytne amfory, uzdrawiającego tygrysy czy latającego z żurawiami – i efekt jest o wiele lepszy. Memosfera przerobi zdjęcia Putina na koniu na memy Putina na niedźwiedziu, i wystarczy. *Soft power* rozpycha się, a na profilach typu „Eastern Europe is a state of mind” czy tych o kucających Słowianach w dresach Putin wyrasta na króla Europy Wschodniej.

– Putin to jedyny człowiek, który może wprowadzić porządek – mówili mi litewscy Polacy w Sołecznikach na Wileńszczyźnie. – Nie gada niekonkretnych rzeczy, jak ci nasi politycy w Jewro-sojuszu (UE po rosyjsku), tylko robi, co trzeba, przywraca Rosji godność.

– Jestem dumny ze swojego prezydenta – tłumaczył mi rosyjski funkcjonariusz FSB, gdy przesłuchiwał mnie na abchaskiej granicy. – On by sam jeden temu waszemu Zachodowi dał po szczęce.

– Rosja wstaje z kolan i ma z czego być dumna – opowiadał mi rosyjski taksówkarz na Łotwie. – Za Jelcyna to był wyłącznie wstyd, że pijak i błazen, a teraz to aż miło spojrzeć! Dobrze zbudowany, twardy.

– Ale co ma wspólnego Putin z pana życiem? – zapytałem wtedy taksówkarza, a nim aż zatrzęsło. – Jak to! Przecież to jest mój prezydent, moja twarz na świecie!

Putin nie jest po prostu prezydentem. On jest awatarem wielu, bardzo wielu Rosjan. Reprezentuje ich nie w mediach społecznościowych czy na Second Life, tylko w wielkim świecie. I każdy news w telewizji, na którym Putin czochoa innych przywódców świata, jest tym samym źródłem serotoniny co zdobycie tysięcy lajków pod postem na Facebooku czy Vkontakte.

To samo się dzieje, gdy Putin wychodzi na matę w stroju judoki czy na lodowisko w stroju hokeisty i wywija ze zwinnością mało typową dla przeciętnego Rosjanina w jego wieku. Putin to jednoosobowa reprezentacja Rosji: w polityce, ale i w sporcie.

Doskonale to wie, dlatego od dawna stawia na sport. Stąd jego osobiste zaangażowanie w organizację olimpiady w Soczi czy rosyjskiego mundialu, ale też stanowczy odpór oskarżeniom o doping przeciwko Rosyjskiemu Komitetowi Olimpijskiemu. Jest na tym polu aktywny: poza chlebem, który firmowana przez niego umowa społeczna zapewniła wielu Rosjanom po niepewnych latach Jelcyna, potrzeba ludziom dać też igrzyska.

Judo zaczął uprawiać w wieku 13 lat, a jego ówczesny trener Anatolij Rachlin opowiadał, że już wtedy wyróżniał go wytrzymałość i nieprzewidywalność: nikt nie mógł być pewien, jaki ruch w walce wykona chłopak, który za parę dekad zostanie w Rosji drugim po Bogu. I ten element zaskoczenia często przynosił mu zwycięstwo, również w walkach ulicznych. Zanosilo się na to, że zostanie zawodowcem odnoszącym sukcesy na międzynarodowych imprezach.

Jednocześnie trenował sambo, rosyjską sztukę walki wręcz, która koncentruje się na jak najefektywniejszym rozbrojeniu i unieszkodliwieniu przeciwnika, nie unikając również ciosów uznanych w judo za brudne. Putin umie grać faktem, że potrafi się bić, a w Rosji, jak i zresztą w innych krajach Europy Wschodniej, taki fighter, umiejący wymusić prawo pięścią, nadal jest – i jeszcze długo będzie – obiektem zazdrości.

Nawet jeśli część Rosjan go nie lubi, to przeciętny obywatel nie może go nie szanować. Rosyjskie *gopniki* (blokersi, dresiarze), jeśli stereotypowo nie kucają w dresach pod klatkami chruszczowek i nie piją, jeszcze bardziej stereotypowo, piwa bałtika – uprawiają sport. Siłownie, szkoły boksu, sambo, dżudo i innych szkół walki są w Rosji popularne. Nie tylko dla samego sportu – mają znaczenie praktyczne: w Rosji trzeba umieć przetrwać. To jednak społeczna mniejszość.

Tym bardziej że na tej umiejętności przetrwania w skrajnych warunkach opiera się znaczna część rosyjskiej dumy narodowej. Gdy w 2014 r. z powodu mrozu samolot na jednym z syberyjskich lotnisk nie chciał wystartować, pasażerowie popchnęli go na pasie startowym i maszyna ruszyła. Wydarzeniem z miejsca zaczęto się w Rosji zachwycać. „I taki naród oni chcą zmiekczyć sankcjami” – śmiali się komentatorzy.

Rosja Putina zdaje sobie z tego sprawę i ze stereotypu „silnego rosyjskiego muzyka”, który może i swoje wypije, ale jak trzeba, to i samolot popchnie. Jak w aikido, wykorzystawszy antyrosyjski stereotyp kreatywnie i przerobiła go na coś „cool”, przeciwstawiając rosyjską tężyznę zachodniej dekadencji i miękkości – jak by powiedziano w ignorującej polityczną poprawność Rosji – zniewiescieniu.

Cała ta propaganda o „krępkim rosyjskim niedźwiedziu” to w dużym stopniu złudzenie. Alkoholizm, narkomania i innego rodzaju patologie sprawiają, że przeciętna długość życia w Rosji jest sporo krótsza niż na Zachodzie, demograficzna przyszłość rysuje się fatalnie.

Promocja sportu jako aktywności godnej „prawdziwych Rosjan”, która w dodatku ma ich odciągnąć od używek i ogólnie „ulicy” (jak to się stało w zmitologizowanej historii życia Putina), a także skłonić do bardziej aktywnego stylu życia, to zatem w Rosji wielka rzecz.

W Rosji rozbudowuje się sportową infrastrukturę, zarówno tę dla dysponujących mniejszym, jak i większym budżetem. Próbuje się skłonić biznes do inwestycji w sportowy sektor. Wprowadza się programy typu „500 basenów na rosyjskich uniwersytetach”. Infrastruktura ta nadal jednak jest o wiele słabiej rozwinięta niż w Europie. Specjaliści narzekają też, że na inwestycje w sport mogą pozwolić sobie głównie najbogatsi dla poprawienia wizerunku, bo takie nakłady słabo się zwracają.

O ile jednak w Rosji wzrasta zainteresowanie sportem, o tyle najczęściej jest to zainteresowanie pasywne: coraz więcej ludzi interesuje się imprezami sportowymi, ale stosunkowo mało sporty uprawia. Pozostają więc wielkie imprezy, podczas których można efektownie się pokazać. I tu zaczyna się główny problem, bo sportowcy chcieliby pokazywać się zbyt efektownie.

Po igrzyskach w Soczi media kipiały od materiałów o niewiarygodnej skali dopingu w rosyjskim sporcie. Wynikało z nich, że na środkach dopingujących jadą w Rosji niemal wszyscy sportowcy. Jednym z filarów tego procederu miał być Grigorij Rodczenkov, były szef antydopingowego laboratorium w Moskwie, który przed Soczi miał – teoretycznie – wykrywać doping u sportowców.

Rodczenkov zgodził się wystąpić w „Ikarze”, dokumencie Amerykanina Bryana Fogela, w którym reżyser poddaje się w ramach eksperymentu dopingowej „kuracji”. Kręcenie „Ikara” to był dla Rodczenkowa gorący czas: ucieka do USA, a następnie sypie. Opowiada amerykańskim dziennikarzom wszystko o rosyjskim dopingu. Mówi o „państwowym programie dopingowym”, nadzorowanym przez takie osoby jak minister sportu Witalij Mutko.

Niemal natychmiastową ilustracją historii z „Ikara” okazała się olimpiada w Pjongczangu w Korei Południowej zimą tego roku. Cała rosyjska reprezentacja została zdyskwalifikowana: sportowcom, którzy nie oblali testów na doping, pozwolono uczestniczyć w zawodach, ale nie pozwolono im pomaszerować na otwarciu pod rosyjską, tylko pod olimpijską flagą. Nie odegrano rosyjskiego hymnu, nie pozwolono na noszenie rosyjskich strojów.

W 2018 r. „Ikar” dostał Oscara. Putin ogłosił, że Rodczenkov powinien siedzieć, bo „ewidentnie ma problemy z prawem”. Przeproszał sportowców, których „nie zdołał ochronić przed dyskwalifikacją”, oznajmił jednak, że ta była „motywowana politycznie”, bo choć problem, jak bagatelizował, pewnie gdzieś tam istnieje, to nie odnosi się on na pewno do całego sportowego ►